

Pisanie o pastuchach na wsi jest trochę takie śmieszne, by nie powiedzieć głupie, nikt poważny nie będzie sobie zwracał głowy pastuchami. Krowy pasali głównie chłopcy, lub starsi i niedołążni członkowie rodzin. Czasami przy nawale prac polowych krowy po prostu były uwiązane na paliku, a wtedy wolne ręce pastuszka też były wykorzystywane w żniwa, przy zbiorze siana, potrawów, wykopkach. Krowy były wiązane na skoszonej łące lub przed wykopkami na staju, gdzie rosły jeszcze badyle i chwasty. Pasało się na swoim polu, na drogach, między, części łąki od strony uprawianej roli, taki pas łąki, na którym koń zawracał podczas orki. Przy każdym polu była droga dojazdowa na całej długości pola. Pola kamieńskie były wąskie ale długie, sięgające nawet 2 kilometry. Pasało się także na rowach, przy dołach i zagajnikach. Wypasane były trawy wszędzie tam gdzie nie można było zbierać jej jako siano. Pod nazwą ugór kryło się staję po konicznie pozostawione bez dalszej uprawy, które bardzo szybko zarastało samoistnie chwastami segetalnymi i samosiewami koniczyzny, wyki i lucerny. Dużo rolników przeznaczało część pola pod zielonki, uprawiano głównie wykę i lucernę na paszę dla zwierząt. Pola na których łatwo i szybko rosły te rośliny a następnie dość prędko zarastało roślinami o dużej wartości odżywczej dla uzyskania zwiększonej ilości mleka od krów. Wyki i lucernę uprawiano na pasze w plonie głównym, częściej jednak jako zasiew na bieżące dokarmianie podczas dojenia krów. Krowy właśnie na takich ugorach najchętniej się pasły dając dużo smacznego mleka. Krowy to wyjątkowe zwierzęta, uznawane były za żywicielki dzieci i większości mieszkańców wsi, kwaśne mleko albo maślanka z ziemniakami to była nasza kolacja. Mają doskonałą pamięć oraz orientację w terenie. W sytuacjach problematycznych zachowują się niemal jak ludzie, potrafią same wrócić do domu, co wielokrotnie sprawdziłem, gdy już po pasieniu wracaliśmy do domu. Są wspaniałymi matkami, które bardzo troskliwie opiekują się swoim potomstwem i przygotowują maleństwa do samodzielnego funkcjonowania. Krowa z chęcią zaopiekuje się także cielakiem, który nie jest jej rodzonym dzieckiem. Wszystkie krowy łączyła jakaś więź, one się wzajemnie lubiły, czekały na siebie, trzymały się razem tworząc małe stado.

Na Podlesiu było duże pastwisko - około 100 hektarowe o dość dobrej jakościowo trawie. Na końcu Prusiny znajdowało się jeszcze niedawno pastwisko Błonie, na którym powstało osiedle domków jednorodzinnych. Za lasami Morgowymi są łąki zwane Zdogą, gdzie pasiono głównie konie, a przy okazji uzbierać można było prawdziwków lub kozaków. W Steinau było pastwisko gminne na terenach Spółki Serwitutowej. Pastwisko o nazwie „Piś” położone było pomiędzy polami zwanymi „Santy” oraz polami łowskimi. Trawa na Pisiu była mało pożywna, krowy jadły niechętnie. Aktualnie na Pisiu rośnie piękny las, ziemia tam była piaszczysta lub ilasta i nie nadawała się pod uprawy rolnicze. Pastwiska były raczej dla koni, tam się krowa nie najadła, koń potrafi wyskubać trawę z korzeniami. Bardziej zamożni gospodarze mieli ogrodzone pastwiska, gdzie bydło swobodnie sobie tam się pasło. Na wsi wiedzą, że koń brudnej wody się nie napije, nie widziałem, aby koń pił wodę z kałuży, a krowa już tak? W zimie krowy karmiono potrawami zgromadzonymi na strychu obory lub w stogu za stodołą. Ponadto karmiono kiszonkami z kukurydzy, sieczką ze słomy owsianej, pszenicy a nawet żyta z domieszką posiekanych buraków pastewnych. Konie karmiono sianem oraz owsem. Zwierzęta były karmione i pojone codziennie minimum dwa razy dziennie. Nie do pomyślenia było, aby krowy

były głodne, lub nie napojone, które potrafiły się upomnieć o jedzonko, jak były głodne ryczały - beczały.

Najczęściej to jednak w małych gospodarstwach była prowadzona hodowla krów za pomocą pastuszka. Zdarzało się, że tym pastuchem był ktoś, kto za utrzymanie: wyżywienie i nocleg, czy ubranie i jakieś „grosze” pasał obce krowy. Teraz pastuch to drut pod małym napięciem i wystarczy? Krowy pasaly też „służące”, może nie każdy wie, że służąca na wsi, to nie to samo, co służący na dworach. Najczęściej służącymi były dziewczęta z ubogich - wielodzietnych rodzin. Nie byliśmy bogaci, ale pamiętam Władzię, która była taką naszą „służącą”, choć traktowana była bardziej jako moja starsza siostra, a musiała więcej pilnować mnie niż krowy. Miałem ulubioną krówkę o imieniu Małocha, która była „szefową” w stadzie i zdaje się mi, że Ona też mnie po swojemu „kochała”. Broń Boże nie była to jakaś „zoofilia”, albo „sodomia”, taka „sympatia” bezinteresowna. W pole zawsze szła obok mnie i tolerowała wszystkie moje głupie pomysły jazdy na grzbiecie albo na jej rogach. Czasami tylko mnie ze znudzenia przywoływała do porządku, zrzucając mnie z siebie. Jako pastuszek byłem bardzo chudym i lekkim dzieciakiem, nawet mama kazała mi nosić kamienie w kieszeni, żeby wiatr mnie nie porwał. Uwielbiała głaskanie po szyi od dołu i ochoczo poddawała się ona takiemu masowaniu. Krowy uwielbiają być głaskane, pieszczone i drapane za uszami.

Pasanie krów było zajęciem dla dzieci wiejskich, taka swojska misja od dawien dawna. Nie można tutaj mówić o zwyczaju, jak kołędowanie, albo śmigus dyngus, pasienie bydła jest podstawowym obowiązkiem mieszkańców wsi. To, że człowiek na wsi często na starość miał zajęcie podobne do tego z dzieciństwa jest jakby oczywiste. Sam miałem babcię, która pasala krówki, dziadków raczej do pasienia tych krówek nie wykorzystywano, no co innego to pasienie koni, te zwierzęta nie były, a raczej nie powinny być obsługiwane przez kobiety. Dla mojej mamy, to by się nawet skończyło tragicznie, została ugryziona w policzek przez kobyłę w stajni, gdy podeszła z sianem nie z tej strony co ojciec jej podawał obrok. Swoją drogą kobyłka lubiła czasami mocno skubnąć, gdy się do niej niespodziewanie podeszło, szczególnie tuż po oźrebianiu chroniła swoje maleństwo. Ja też doświadczyłem „przyjacielskiego” upomnienia, że powinienem ją poczęstować gruszką, a nie samu się obżerać. Nasza kobyłka o imieniu Baśka uwielbiała gruszki cukrowki, które rosły na podwórku i wszystkie spady w jej zasięgu należały do Baśki. Dojenie to obowiązek kobiet, choć ojciec umiał doić, to mama jednak nie pozwalała się wtrącać do jej obowiązków, mawiała pilnuj swojego konia.

Pod wieczór, gdy krowy po napojeniu trzeba było zagonić do stajni, mama sprawdzała, czy były najedzone. Najdalej mieliśmy pole pod Borczynami, które nazywane było „Najfeltem”. Tam krówki zawsze miały porządną wyżerkę, rzadko się tam pasalo, bo było daleko od domu. W drodze powrotnej krowy często wszystko przetrawiły, a po drodze zostawiały „ciepłe placki” i w domu chętnie by znowu coś chciały jeszcze dojeść, a mama podejrzanie patrzyła czy aby dobrze je pasłem, a nie tylko przeganiałem je bez potrzeby do lasu, gdzie tzw. robactwo

niemiłosiernie gryzło, aż krowy nie raz miały bąble po tych ugryzieniach przez tzw. bąki. Ale pasienie w deszcz w lesie się czasami opłacało, można było nazbierać grzybów. Raz udało się mi znaleźć prawdziwka - olbrzyma, ważył ponad dwa kilo, no może 1,5 i nie był nawet robaczywy. Mieliśmy wszyscy jajecznicę z grzybem na kolację.

W jednym roku podczas popasania na „Najfelcie” przyłączyła się do krów młoda sarenka, wiem teraz, że nie wolno zabierać takiego maleństwa matce, która w pobliżu czuwała, ale sarenka wtedy szła z nami sama kawał drogi do domu. Niestety po pewnym czasie zaczęła przystawać i trzeba ją było nieść na rękach aż do samego domu. Moi rodzice byli zaskoczeni tym nowym „przybyszem”, a mama mnie skrzyczała, że źle postąpiłem zabierając matce dziecko. Znalazłeś to teraz musisz się „Znajdkiem” opiekować i karmić. Miałem wtedy młodszą siostrę, która była karmiona jeszcze za pomocą „cummla” czyli smoczka, więc musiała się podzielić mlekiem od krowy ze „Znajdkiem”, który opróżnił na początek całą butlę i poszedł spać razem z krówkami do stajenki. Sarenka już na stałe zadomowiła się u nas i po pewnym czasie sama pasła się na podwórku. Pewnego dnia wydostała się przez dziurę w płocie, poszła w pole, najadła się łubinu i ją po nim mocno wzdęło, weterynarz orzekł, że sarenkę trzeba zabić, bo i tak zdechnie w męczarniach. Niestety, „Znajdek” ku mojej rozpaczycy został uśmiercony, a mięso przeznaczono do spożycia. Ja w swoim proteście odmówiłem zjedzenia mojej sarenki. Z tymi krowami przeżyłem jeszcze jedno koszarne wydarzenie, a mianowicie po badaniu krwi bydła orzeczone, że są chore na gruźlicę, nie wiem na ile ta informacja była prawdziwa, faktem jest, że w okolicy u większości krów została stwierdzona ta gruźlica. Było to bardzo dziwne, krowy wcale nie wyglądały na chore, były dorodne, umięśnione, dawały dobre mleko, a tu taka wiadomość? Więc moje ukochane bydła poszły do skupu zwierząt, co wywołało u mnie stres oraz niechęć do pasienia krów. Ojciec kupił dwie krowy, ale pasieniem musiała się zajmować już siostra i mama, ja kategorycznie odmawiałem zajmowania się tymi nowymi krówkami! Nie wiem dlaczego, ale moje krówki uważałem za swoją rodzinę, dla mnie były one prawie święte!

We wsi Steinau były hodowane krowy, każdy podobnie wypasał je najczęściej na polu przy domu, które nazywano „hast plac”. Każdy pastuch pilnował swoje bydła, tak aby nie weszły w „szkodę”, ale też strzegł je, aby nie zostały pobodzone przez obce krowy. Takim stałym pastuchem, można powiedzieć „zawodowym” pastuchem, znanym mi osobiście był Dolek Gutów, z którym starałem się utrzymywać dobre kontakty, gdyż w pole za Marutem krowy często prowadziłem po terenie, którego właścicielem była rodzina Gutów i nie mieliśmy takiej służebności do przegonu lub przejazdu po ich własnościach. Z Dolkiem był utrudniony kontakt, On miał swój świat i jego zajęciem przy pasieniu krówek było rozplątywanie sznurków, które zawsze nosił przy sobie, pastuchem był bardzo solidnym i zawsze troszczył się o swoje podopieczne i chyba całe jego życie zawodowe to było pasienie krów. Pasienie krów nie jest i nie było zajęciem ciekawym, ale ważne dla członków całej rodziny a mleko było podstawą wyżywienia domowników. Najprzyjemniej pasło się krowy jesienią, przy ognisku i pieczeniu ziemniaków tzw. pieczaków. Zdarzały się wspólne popasy na łąkach po zebranych potrawie i śpiewy pastuchów. Robiliśmy piszczałki na których próbowaliśmy wygrywać melodie. O pasieniu krów można poczytać na stronie:

<https://historiezzapłota.wordpress.com/2017/02/02/o-pasieniu-krow/>

Mało mi znanym tematem związanym z hodowlą krów była ich rozrodczość. Rodzice sprawy te trzymali trochę w tajemnicy. Początkowo zapłodnienie krowy wymagało kontaktu z bykiem - buhajem. Później sprawy te załatwiał inseminator. Pod koniec lat pięćdziesiątych w Kamieniu u Pana Lebidy mieściła się placówka weterynaryjna i zorganizowano tam konkurs na najbardziej okazałego buhaja. Pierwsze miejsce zdobył okaz ważący blisko tonę. Prowadziło go dwóch mężczyzn na specjalnych żerdziach zapiętych do dwóch kółek w szczepionych do jego nosa. Rozpoznanie gotowości krowy do zapłodnienia ma duże znaczenie i mama zwracała uwagę jak dana krowa się zachowuje, czy próbuje skoczyć na drugą krowę, gdyż to jest ważny objaw do jej zapłodnienia, nie wolno było tego przegapić. Opóźnienie zapłodnienia krowy kończyło się stratą pozyskania kolejnego cielaka, co za tym szła niezdolność do wytwarzania mleka. Sam byłem świadkiem cielenia się krowy i widziałem z jaką troską krowa po ocieleniu opiekowała się swoim potomkiem, prawie tuż po urodzeniu młode byczki były bardzo aktywne, szybko sobie radziły z dojeniem mleka u swojej mamy.

Temat związany z pasieniem bydła nie jest zbyt interesującym, ale to były takie czasy, był pokój zagwarantowany wielką „przyjaźnią” Polski i ZSRR. Już nie było wywózki do łagrów, a obozy koncentracyjne były na szczęście tylko historią. Toczące się życie było nudne, skupione wokół codziennych spraw, zakupów, które nie były takie proste. Pamiętam taki czas, gdy nawet zakup chleba w piekarni stanowił problem! To miały być nowe czasy z ustrojem o wielkich nadziejach. Takim dziwnym przykładem „nowego ustroju” może być Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna w Kamieniu. Jako mały chłopiec zawsze zazdrościłem kolegom, których rodzice należeli do tej Spółdzielni, gdyż oni nie musieli paść krów! Namawiałem ojca aby przystąpił do nich, ale Tato nie był zainteresowany i zbywał mnie jakimiś opowiastkami o wielkim głodzie na Ukrainie? Tak więc opisywanie tych lat spędzonych przy krówkach ma się marnie w porównaniu z tymi czasami do 1945 roku. Na szczęście nie było już u nas wojny, to gdy dorosłem zrozumiałem, że mamy jednak coś do zmiany, pokonania i obalania, budowania i remontowania.

Wspominał: Władysław Wąsik